NUMER 26. DNIA 25. CZERWCA 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO"
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI.

Żywioł niemiecki na ziemi poznańskiej.

Geschichte des Deutschtums im Lande Posen unter polnischer Herrschaft. Von dr. Erich Schmidt, Oberlehrer in Bromberg. Mit 25 Abbildungen und 2 Karten. Bromberg 1904. Str. XII. i 442. (Dzieje żywiołu niemieckiego w ziemi poznańskiej za czasów polskich przez dra Eryka Schmidta, wyższego nauczyciela w Bydgoszczy).

Jest to temat niewątpliwie bardzo ciekawy i pouczający, aby go jednak przedstawić, jakby należało, wypadałoby rozszerzyć jego ramy na całą Polskę, bo dzisiejsze Księstwo poznańskie jest tylko kawałem ziemi, wyrwanym z ciała Rzeczypospolitej, który nie stanowi dla siebie żadnej całości, dlatego też autor co chwila uciekać się musi do miast i wsi, leżących poza granicami dzisiejszej prowincji poznańskiej.

Autor zapewnia nas, że cel jego jest naukowy; pomimo to zwraca się do wszystkich Niemców, mieszkających w Księstwie poznańskiem i poza jego granicami, aby im uprzytomnić, że przebywają w krajach między Wisłą a Odrą na ziemi staroniemieckiej, że wszystko, co w marchjach wschodnich ma znaczenie kulturalne, jest dziełem ducha niemieckiego. Już to oświadczenie jest dowodem, że mamy przed sobą pracę, która ułożona *ad maiorem gloriam* niemczyzny, swoją tendencją wykrzywiła całą treść książki, bo po stronie niemieckiej jest samo światło, po naszej noc i ciemnota, po tamtej kultura, po naszej barbarzyństwo; a to ciągłe wychwalanie niemczyzny i Niemców czyni czytanie samej książki po prostu wstrętnem.

O czasach przedhistorycznych powtarza autor znane bajki o Germanach, którzy mieszkać mieli nad Wisłą; chrześcijaństwo zaś, a więc podstawę wyższej kultury, zawdzięcza Polska tylko Niemcom, jak gdyby chrześcijaństwo było tworem ducha niemieckiego, jak gdyby Niemcy sami nie byli go otrzymali od misjonarzy irlandzkich. Nie daruje nam także żadnej księżniczki Niemki, która poszła za księcia polskiego, bo były według niego zarodkami kulturalnego rozwoju Polski.

Wszystko u nas jest niemieckie, urządzenia kościelne i klasztory najdawniejsze; o stosunkach i wpływach włoskich zapomina; św. Brunonem opiekuje się Bolesław Wielki tylko dla tego, że był Niemcem a Otto z Bambergu jest u niego przedstawicielem niemieckiej kultury w Wielkopolsce.

Jeżeli zaś twierdzi, że książęta polscy po śmierci Bolesława I. starali się wyrugować wpływy niemieckie z kościoła, to może w tem być trochę prawdy, ale zapomina, że Niemcy — nie mówię tu o ich poetach i filozofach — nigdy nic nie działali dla idei, tylko dla siebie; że i biskupi i duchowni niemieccy dbali tylko o siebie a nie o owieczki swoje, dowodzi okoliczność, że jeszcze w XII. i XIII. wieku zarządzają tu i ówdzie polskiemi djecezjami; nie dali się zatem usunąć.

Po takim wstępie obejmującym 51 str. przechodzi autor do właściwego tematu. W rozdziałach przedwstępnych opisuje on położenie chłopstwa w Wielkopolsce na podstawie różnych dokumentów pochodzących po większej części z czasów, gdzie wskutek zaprowadzenia prawa niemieckiego nastąpił był pewien przewrot w stosunkach polskich; obraz jest naturalnie dosyć ponury, chociaż prawo polskie, przechowane nam w języku niemieckim przez Krzyżaków i pochodzące z początku XIII. wieku, o wiele łagodniej i jaśniej przedstawia owe stosunki polskie.

Książęta polscy, łaknąc wyższej kultury, postanowili, tak mniema autor, sprowadzać na wielką skalę do swego kraju niemieckich mieszczan i nie-

mieckich chłopów, aby wydobywali z ziemi utajone Polakom skarby natury.

Aby tezę tę uzasadnić, podaje autor jasny obraz tejże ludności niemieckiej, która Polskę miała uszczęśliwić, ale że w tem przesada, sądzić można z tego, co mówi o ludziach garnących się do kolonizacji: „nie byli to najgorsi z narodu, byli to bowiem osadnicy pańscy, którzy dłużej już nie mogli znieść ciężarów tłoki (Frohndienst), młodsi synowie chłopscy, nie mający widoku uzyskania dziedzictwa, awanturnicy, którym w domu było za ciasno, oraz zbrodniarze“...

Autor rozróżnia dwie epoki kolonizacji niemieckiej, jedna zaczyna się już w XII. wieku i kwitnie przeważnie w XIII. i XIV. wieku, druga obejmuje wieki XVII. i XVIII.

O pierwszej epoce możemy sobie wyrobić zdanie, bo materjał, na którym autor się opiera, w większej części jest znany, mieści się bowiem w dyplomatarjuszach polskich od dawna wydanych. Zasługą autora jest, że, co mógł, wydobył jeszcze z archiwum państwowego w Poznaniu.

Ale ta, przez autora z takiem zamiłowaniem traktowana, kolonizacja średnich wieków jest po prostu mytem, wymyślonym na chwalbę niemczyzny, choć nie przeczę, że tu i ówdzie istnieją rzeczywiście osady czysto niemieckie.

Autor twierdzi, że książęta polscy zainicjowali kolonizację niemiecką, aby na miejscu mieć rozsadników wysokiej kultury niemieckiej. Naszym książętom jednak o to wcale nie chodziło, mieli oni zupełnie inne zamiary.

W XII. wieku stał się modnym zakon cysterski; książęta i magnaci polscy, jako pobożni chrześcijanie, naturalnie interesowali się nim i pragnęli go także posiadać u siebie. Zakon ów, który powstał we Francji, rozszerzył się prędko i po Niemczech, Polacy zatem, udawszy się do swoich sąsiadów po zakonników, sprowadzili ich z Niemiec i osadzili na ziemi polskiej. Obdarzywszy ich hojnie dobrami liczyli na to, że nie tylko modlić się będą za nich, lecz że także działać będą korzystnie na ukształcenie religijne i materjalne ludu polskiego. Ale wiadoma rzecz, że liczne klasztory cysterskie zawiodły oczekiwania polskie; nie przyjmowały bowiem, z małymi wyjątkami Polaków do swego grona, sprowadzały zaś z swoich stron krewnych, przyjaciół i znajomych i tymże powierzały miejsca zakonne i tychże osadzały na gruntach darowanych im przez Polaków, trzymając się tylko swego kółka i dbając tylko o własny interes, nie mogły być żadnym czynnikiem kultury wyższej, jeżeli ją wogóle posiadały, były po prostu szkodliwym narostem na ciele społeczeństwa polskiego. W XVI. wieku dopiero wygnano Cystersów ostatecznie z powrotem do Niemiec, o ile nie chcieli zgodzić się na współżycie z Polakami. Niestety! klasztory można było wypróżnić, ale ludność niemiecka, osiadła od wieków, pozostała w ziemiach klasztornych i dotychczas tam siedzi, płacąc nam za dobrodziejstwa wyświadczone hakatą.

To była jedyna rzeczywista kolonizacja niemiecka, powstała niewątpliwie mimo woli fundatorów Polaków. (C. d. n.)

Pieśni z zapadłej wsi.

Dusza chłopska wyzwala się. Rwie niewolnicze pęta ciemności i zacofańtwa, walczy do ostatka sił z tą drugą duszą „pańszczyźnianą“ — jak ją nazwał Bojko — i spoziera ku słońcu i gwiazdom, za słońcem i za gwiazdami. „Niespodzianego niema nic“ — za Sofoklesem można powtórzyć. Kto baczniej przypatruje się ruchowi ludowemu, choćby w ostatnich jego przejawach — zauważy, że jest ten ruch na jakiejś twardej, niezmożonej sile oparty. Coś niezwykle radosnego, coś niezwykle wielkiego wypycha tego chłopa z ciasnych ram wsi rodzinnej i każe mu patrzyć szerzej i głębiej na świat i na ludzi, niż dotąd. Co to jest?

Chłop staje się idealistą, marzy. We mgłac' roją mu się cudne przywidzenia. Na wspominek przychodzą brzęki stalowych zbroic, krzyże płonące królewskie zaczarowane komnaty, zamki sterczące wysoko na skałach, dwory... i bat wiszący nad nim... Chłop duma. Myśl jego poczyna wybiegać dale poza ogródki wiejskie, ku szczytom gór, ku gwiazdom Roją mu się losy własne, przedziwne i jeszcze dziwniejsze losy — sąsiadów, gminy, powiatu... Ojczyzny, ludzkości.... Chłop poczyna kochać otwarcie — głęboko poczyna kochać!... A tego mu nie było wolno dotąd. W czarnej śmierdzącej izbie mógł jedynie poskarżyć się przed żoną i dziećmi, mógł szepnąć czasem, że mu zanadto duszno i parno, że dym mu wygryza oczy, zasnuwa i zaciemnia mózg, mógł c

najwyżej zapłakać i pomodlić się... Ale za chwilę wyprostowany musiał iść „na pańskie“. A nie wolno mu było kochać. Chyba tak, żeby nawet Bóg nie wiedział...

...I pono mu się to udawało!..

Więc... kochał — choć mu nie było wolno.

Ale kwiaty tej miłości więdły, łamały się i podeptane gniły, uprawiały grunt. I grunt stał się żyzny. Miłość chłopska — ukochanie tego wszystkiego, co wielkie i wzniosłe — i tego, co niewiadome, a tylko przeczuwane — ukochanie bezmierne, choć dziś jeszcze nierzadko w głębi utajone — strzela płomiennymi słupami w chmury, łączy ziemię z niebem.

Na powitanie nowych marzycieli i idealistów, na powitanie tych rycerzy nowych — kto wyszedł? Kto ich wyprowadzał z trzęsawisk, na które natknąć musieli nieraz?

O tych wiedzą sami chłopi najlepiej. O tych nie zapomina pieśń chłopska — i nigdy nie zapomni, nigdy...

* * *

Przeczytałem nową książkę chłopską. *) Tym razem — poezje. Książka wydana pięknie, na grubym papierze, nawet z winietą na okładce. O ile wiem, jest to w Polsce pierwszy tomik poezji — z chłopskiej piersi o wsi wyśpiewanych. (Oczywiście, nie zaliczam tu poprzedników takich, którzy szkoły kończyli.) Napisał książkę Jantek z Bugaja, parobek wiejski. Wieś mu była kołyską, wieś mu jest dobrą matką — o wsi więc śpiewa.

„Polak, włościanin, syn wiejskiej chaty
Tobie poświęca te „blade kwiaty“
Zrodzone w sielskim serca odłogu,
Jako te kwiaty dzikiego głogu.“

Tak się odzywa o sobie — poświęcając swe pieśni Marji Konopnickiej, która zbawienny wpływ wywarła na kilku jego obrazkach o doli chłopskiej („Nie powrócił“, „Sierota“ i t. d.), lub na wdzięcznym wierszyku p. t. „Blade kwiatki,“ co

„Kasiunia podlewała
I łzami je nakrapiała
Żałośnie.
Jaś kochany ją porzucił
I już więcej nie powrócił
W tej wiośnie.“
— — — — — — — — —

„Kasię w trumnę położono,
W blade kwiaty ustrojono,
Śnieżysto.
Wynieśli z chaty rodzinnej,
Złożyli w mogile zimnej
Wieczystej;
Na mogile z każdą wiosną
Blade kwiaty kwitną, rosną,
Śnieżyste.“

Ale nie liryzm jest treścią duszy Jantka, choć i ten w udatnych piosnkach, miłosnych zwłaszcza, przebija się wyraźnie. Jantek ma bardzo rozwinięty dar spostrzegania. Z tego też powodu przepięknie pisze obrazki z natury („Wioska rodzinna“), znakomite satyry, przypowieści i bajki. Opowiadania te uwidoczniają nadto talent dramatyczny. Djalog Jantka jest ogromnie cięty i dosadny. Dowcip ogromny. Z „bajek i przypowiastek“ pisanych z rozmachem Krasickiego dość przytoczyć jednę, pierwszą lepszą, by się przekonać o cennej wartości innych, n. p.:

Żal wilka.

Raz wpadłszy w baranią trzodę,
Porwał wilk jagniątko młode,
Co za wilczysko poczciwe!
Zaniósł je do lasu żywe,
I żałował: „Co za szkoda,
Tyś taka, owieczko, młoda,
Nie przeżywszy ani lata,
Musisz schodzić z tego świata.“
Tak wilczysko zawodziło
Długo, bo głodne nie było,
Aż łapami łzy ocierał,
Kiedy owieczkę pożerał...
Z tej bajki, jakaż nauka?
Każdy łatwo ją odszuka,
Gdy się wpatrzy w ludzkie dzieje.
Wieleż łez się wilczych leje!...

Lepszymi od tej — pod względem obrazowania, djalogu i szalonej werwy — są „Bocian i wróbel“, „Czubata, jarzębiata“, „Maciejowa“ i wspaniałe wprost „cztery sylwetki, z cyklu: kobietki“... Ile tam humoru i jowialności młodego parobczaka, ile śmiechu radosnego, a nierządko i dokuczliwego — trudno opisać...

Kończy się książka cyklem utworów: „Jestem Polakiem“. „Do mnie należy przeszłość i przyszłość mojej Ojczyzny“ — powiada Jantek w wyznaniu swej wiary. A potem następują mistyczne jakieś pieśni z naszych łąk i pól pachnących, o Panu Jezusie, o Marji Najświętszej, o gromnicach płonących

*) Blade kwiaty z wiejskiej chaty. Napisał Jantek z Bugaja, parobek wiejski. W Krakowie 1905. Nakładem księgarni D. E. Friedleina. — Warszawa E. Wende i Sp.

na nabożeństwie majowem. I znów zawraca do tej orędowniczki ukochanej, do pieśniarki ludu, Marji Konopnickiej, głęboką, poważną pieśnią.

„Nie mam zdolności godnej Twojej chwały,
Świętynia wiedzy jest dla mnie zakryta,
Bym Ci mógł, Pani, złożyć hymn wspaniały,
Jam prosty wieśniak, ot... „wolny najmita“.

I z siłą potem wydziera się krzyk z jego piersi: „hańba wam wieczna, prusaki!“ — „cześć wam i sława, Polacy, Wielkopolanie, Ślązacy!“...

* * *

Jantek nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. To są jego pierwsze pieśni. A wierzę mocno, że rozwinie on skrzydła szeroko do lotu, wzbije się ponad niejedne „uczone poezje“ i będzie świecił blaskiem doli chłopskiej. Szedł naturalnemi drogami.

Nie zagrał nawet jeszcze tak pięknie i tak głęboko, jak Wojciech Zawada z Dąbrowicy, również włościanin poeta. Ale — powiadam — nie wyrzekł ostatniego słowa... Trzeba ino, żeby się skupił, żeby do dna wniknął w tę swoją wieś, którą tak kocha: — „Gdzież tak jest w świecie, jako na Bugaju?“

— Nigdzie — odpowiadam Ci, Jantku, choć tej wsi nie widziałem...

Nigdzie nie jest tak pięknie — a Ty się dzierż mocno i nie daj, żeby było piękniej gdziekolwiek...

Feliks Gwiżdż.

IZA MOSZCZEŃSKA. 4)

Udział kobiet w życiu politycznem Królestwa Polskiego.

(Dokończenie.)

W pierwszych tygodniach mianowicie przeważał taki stosunek, że na 30 matek, przybywało po 5 ojców i każdy wiec kończono wezwaniem, by wszyscy obecni wzięli sobie za obowiązek na następny zwerbować jaknajliczniejszy zastęp ojców. — Chodziło bowiem o to, że wobec prawa decydującą stroną jest właśnie tylko ojciec, że zatem najlepsze chęci matek mogą się rozbić o to, że między ojcem a dyrektorem nastąpi poza ich plecami kompromis. Urządzano nawet specjalne wiece „opornych ojców“, ściągając na nie tych panów, którzy od swego wintowego stolika spoglądając na ruchy społeczno-polityczne kraju, z tego górnego stanowiska osądzali strajk szkolny jako wybryk lekkomyślności młodzieńczej. — Nie przeczę bynajmniej, że już od samego początku kilku mężczyzn, ojców rodziny gorąco akcję popierało, ci jednak również przyznać muszą, że najdzielniejszą pomoc i poparcie znajdowali właśnie w kobietach i że w ciągu tej specjalnie domowo-wychowawczej rozprawy wyłoniły się z pośród bezimiennego ogółu takie piękne, takie wspaniałe w swej prostocie typy matek Polek, jakich nie widziano i nie przypuszczano wśród przeciętnych warszawianek.

Pamiętajmy bowiem, że tutaj nie chodziło już o wolę wybitnych działaczek, wyboru inteligencji kobiecej, lecz o zapatrywania i decyzje ogółu matek tj. mnóstwa osób, które po raz pierwszy w życiu swe zapatrywania i decyzje formułować i w życie wprowadzać musiały.

Każdy bezstronny świadek przyznać musi, że ogół kobiet w tym wypadku zupełnie usprawiedliwi chlubną opinję kobiety polskiej jako obywatelki kraju. Pewne różnice zdań, pewne wahania się były nieuniknione.

Smutny wyjątek mianowicie stanowią przełożone pensji prywatnych, owe kierowniczki młodzieży żeńskiej, których zakłady uchodziły za „ostoje polskości“, a były właściwie jej kryjówkami, w których się ona t hórzliwie i lękliwie chroni, wdziewając tak często dla inspektorów prawomyślną maskę, że jej ta maska już przyrosła do twarzy. I w tym wypadku jednak wina w znacznej części spada na ich męskich doradców, zwłaszcza na księży katechetów, propagujących zawsze i wszędzie dogmat, „że władza pochodzi od Boga“. Znam wypadki, że na konferencjach pedagogicznych takich prywatnych zakładów naukowych cały męski personal nauczycielski oświadczał się przeciw strajkowi, przeciw głosowi nauczycielki strajk propagującej, a uczenice poszły za głosem nauczycielki.

Zresztą różnica, jaka się zaznaczyła w kwestji pensji żeńskiej, a raczej rozłam, który tu nastąpił, przypisać należy odrębnościom klasowym. Uczenice tych zakładów rekrutują się głównie ze sfer zamożniejszych, zawsze więcej egoistycznie usposobionych i obojętnych w sprawach publicznych. Pominąwszy więc ten smutny wyjątek, tę plamę, jaką na opinję kobiety polskiej ściągnęły panie przełożone, w walce o szkołę obóz matek bronił dobrej sprawy i odniósł zwycięstwo. Pod ich wpływem rozgrzali się i rozru-

szali ojcowie, a wiec z d. 19. lutego był walnym tryumfem stronnictwa walki nad stronnictwem biernej uległości. W tym dniu, w którym nawet żadna z nich nie wystąpiła publicznie, matki zadecydowały o wychowaniu dzieci. Ich głos, stał się głosem ogółu.

Potem zaczęły się czasy jeszcze burzliwsze, czasy krwawe.

Zaczęły się represje i aresztowania; kobiety na równi z mężczyznami padały ich ofiarą, kobiety z gorliwością i poświęceniem sióstr miłosierdzia rozciągały opiekę nad opuszczonemi rodzinami tych, którzy wolnością, kalectwem lub śmiercią opłacili swą polityczną działalność.

Zaczął się szereg zamachów. Po Warszawie krąży pogłoska, że jednę z ostatnich bomb rzuciła kobieta, a po dokonaniu tego aktu zemsty za istną rzeź niewiniątek, która splamiła bruk Warszawy, gdyż rozbestwione żołdactwo po prostu pastwiło się nad dziećmi, („jak pokrzywy cięli, jak szczenięta kłuli pikami“), spokojnie oddaliła się i wsiąknęła w wielką masę publiczności warszawskiej.

A w czasie rzezi, która rzucenie bomby poprzedziła, wśród pochodu, który z rozwiniętemi sztandarami szedł przez Aleje Jerozolimskie, ileż tam padło kobiet i dziewcząteki! Jedna z nich, czternastoletnia bezimienna bohaterka, wygłosiła podobno prześliczną mowę, a potem, gdy z dwóch stron wojsko zaszło drogę tłumowi i prażyć go zaczęło, ta mała została literalnie rozsiekaną i strzępy jej odzieży, znalezione w dole od wapna, warszawianki przechowały jako relikwję.

A zatem kobiety-Polki są wszędzie, gdzie szale losów narodu się ważą. Tam, gdzie błyska myśl polityczna, gdzie nowe gwiazdy przewodnie zapalają się na firmamencie, gdzie grzmią potoki takich słów, które iskry w mózgach krzeszą, słów, które później ciałem się stają, tam gdzie się gromadzą ofiary na cele narodowe i tam gdzie się krew polska leje.

W życia publicznem naszego społeczeństwa nie czekając wyborów, mandatów, ani rozporządzeń prawodawczych zajęły one same ważne posterunki, a kto jest przeciwny polityce kobiecej, będzie sobie musiał zadać trud, żeby je ztamtąd wyprzeć.

Nie wątpię naturalnie, że tacy ochotnicy się znajdą, nie wątpię nawet, że zjawią się w pokaźnej sile, a może stanowić będą większość. Nie zapominajmy bowiem, że zarówno w działalności konspiracyjnej, jak rewolucyjnej biorą zawsze górę żywioły gorętsze, ruchliwsze, żywioły radykalne i postępowe. Gdy zaś nastanie nowy, ustalony porządek, gdy zapanuje spokój i bezpieczeństwo, wówczas różne reakcyjne elementy wynurzą się ze swych kryjówek, do których je zapędziło wrodzone im tchórzostwo, ruszą się od stolików wintowych i od biurowych rachunków rozmaici filistrzy, nieużytki społeczne, nicości obywatelskie, wypłyną na wierzch puste, bezmyślne głowy prywatnych a ogólnie dla swej nieszkodliwości szanowanych „burżujów“ i rozsiadłszy się wygodnie na fotelach sali sejmowej, którą lud polski i rewolucjoniści polscy do współki z kobietami szturmem zdobywali, — zaczną przeważnie radzić nad tem, jak lekkomyślnym krokiem byłoby dopuszczanie kobiet do udziału w prawodawstwie. Ostrzegać będą przed zgubnem i ryzykownem nowatorstwem, powoływać się na niedojrzałość polityczną kobiet, na ich brak doświadczenia (jak gdyby ktokolwiek u nas mógł mieć doświadczenie polityczne prócz tych, którzy je w dobie rewolucji zdobyli) na przykład zachodniej Europy, którego rok przedtem w czasie walki wolnościowej tamci nie próbowali naśladować i będzie im się zdawało, że oni to właśnie, ci pasożyci niwy narodowej wyobrażają rozum polityczny. Wtedy będzie chodziło o to, żeby kobiety w obronie praw własnych rozwinęły tyle energji, ile jej poświęciły na wywalczenie praw dla narodu, by wyszły ze swej roli bezinteresownych ofiarniczek, a przeszły do roli świadomych swej siły i zasług obywatelek, by pamiętały, że dojrzałość polityczną stwierdza się wtedy, gdy się od nikogo nie oczekuje podarunków, nie wymaga wdzięczności i na nią nie liczy, lecz gdy się swoją należność windykuje, reklamacje siłą popierając. Połączenie tych wszystkich energji kobiecych, które teraz tak skutecznie pomagają do popchnięcia naprzód rydwanu losów narodu, w jedną zwartą i solidarną organizację stojącą w obronie dobra, uczciwie nabytych praw kobiecych, mogłoby stanowić tę siłę, a śmiało liczyć można, że po stronie ligi kobiecej stanęłyby najdzielniejsze jednostki męskie te, którym kraj najwięcej zawdzięczać będzie.

Wtedy przyjdzie pora na polski feminizm i wtedy on będzie musiał się pojawić, a wśród ogromu zadań kulturalnych, jakie na nas wtedy spadną stanowić on będzie nowy, niesłychanie pożądany czynnik ruchu i rozwoju.

Biją ćmy.

Noc szła chmurna i cicha...

Górą, rwały się w olbrzymi szmat kawały chmury ciężkie, wiatr rzucał niemi jak swawolny dzieciak piłkami...

Miasto usnęło, po trudach i gonitwie...

A do mego okna biją ćmy i biją ciągle.

Przez osłonę białej firanki przedostaje się jasność lampy, do zimnej szyby... o nią biją owe wątłe skrzydła biednych owadów i tworzą dziwną muzykę skargi czy błagania...

Dlaczego one gonią się tak chciwie, uporczywie i wytrwale do tego błysku światła?...

Czy wiedzie ich tu jakaś tęsknota za ową jasnością dnia, której nigdy nie oglądają? Czy woła ich tu złuda czegoś lepszego i ponętniejszego od owego mroku nocy, w którym im żyć przekazano?

Na te pytania odpowiada tylko monotonny, cichy szmer skrzydełek, uderzających o szyby okna...

Biją ćmy ciągle i trwale...

W zniecierpliwieniu rzucam pióro i zbliżam się do okna. Otworzę je — niech lecą chciwe jasności wątłe te owady — spalą się, zginą... wszystko jedno... ja rozumiem ich tęsknotę — niech lecą.

Wychylam się — patrzę w mroczną toń ulicy...

Na prawo — przytulona do siebie idzie jakaś czuła para... do uszu mych dolata szept:

— Będziesz że czekać? — wytrwasz?

— Ćma bijąca o szybkę nadziei, mówię do siebie...

Z lewej strony wysuwa się pijany — zataczający się robotnik. Idzie strasznym krokiem zatrzymywanym ciągle niemocą woli...

— To ćma — bijąca o błysk szynkowych okien...

Za chwilę, przebiegł szybko chłopak od szewca blisko mieszkającego.

Spotkał się z czekającym na niego terminatorem i woła:

— Mam książkę do czytania... chodź do piekarni, tam się całą noc świeci — przeczytamy...

— I to ćma bijąca o szybkę jasności...

Zamknąłem okno i wsłuchałem się w szmer bijących skrzydeł...

— Nie gardźmy bijącymi do światła — ćmami... powtarzam sobie... bo ci najnieszczęśliwsi, którzy nawet tyle tęsknoty ku dobru nie mają — co ćmy w mroku budzące się i — bijące o szyby.

Jan Świerk.

Pod trzeciego króla.

(Ciąg dalszy.)

Na to stary wyga popatrzył na mnie z ubolewaniem lekceważąco i mówi: Kiedyś taki mądry, to powiedzże, czemu się to miasto Myszawa nazywa — jak nie od tego, że go myszy zjadły? A ino, a ino — przytakiwali starzy oryle, — „przecież tu jeszcze z nieboszczykiem rodzicem tyle razy pływałem, a i oni nam to tak samo opowiadali, jak mówią p. majster“. Musiałem schować podanie książkowe do kieszeni, bo tradycja ustna mię przegłosowała. Nie dziwię się temu wcale, bo podczas uroczystości Mickiewiczowskich później w Krakowie, stojących Maćków wraz ze mną przy pomniku Jagiełły na zamku, jakaś „obczytana“ pani — porządnie ubrana pouczała naprawdę, że tu leży Popiel, co go myszy zjadły, i oto — mówiła — te myszy tu są przedstawione. Grzecznie chciałem sprostować historyczne wiadomości tej kobiety, ale mnie sfukała, abym „ludu nie bałamucił“. Pomoc Świątnika dopiero mnie poparła w katedrze krakowskiej — żem plac otrzymał, ale pod „Myszawą“ musiałem zamilknąć wobec retmana i orylów.

Wyszedłszy do Nieszawy „czerwonej“, jak ją zwał Klonowicz, spotkałem biednego górala od Żywca, grającego smutne dumki na jedynie polskim instrumencie — na kobzie. Szkoda wielka, że ten instrument, jak również i jego rówieśnica polska, lira wychodzą z użycia. Wiadomo, że dawniej wielcy nawet panowie grali na kobzie, a słynny Korecki, wojownik nasz, kiedy go po raz drugi wziętego w turecką niewolę prowadzili Turcy do Konstantynopola, ducha i sobie i współtowarzyszom niewoli grą na kobzie krzepił.

Żal mi było biednego górala, że tak daleko idzie za niepewnym kawałkiem chleba i przyszła mi na myśl pieśń Bałuckiego: „Góralu czy ci nie żal“? Mój Boże, gdzie naszych ludzi dziś już nie spotka za onym chlebem — ale trudno kiedy tak nam wypadło.

Nieszawa jest pierwszorzędną wodną komorą celną i ruch tu jest w całem tego słowa znaczeniu. Paszporty orylów, podpisane już w Opatowcu, Zawichoście i Warszawie, tu po raz ostatni podpisują, bo niebawem ma się flis nieborak dostać pod „trzeciego króla“. Urzędnik moskiewski czyta każdego flisa po nazwisku, a gdyby był chory i chciał iść do domu, lub miał jaką krzywdę, to mu tu sprawiedliwość, podług uznania, wymierzą.

Zdala widać ruiny zamku i kościół w Raciążku, słynnym ze zjazdu króla Jagiełły z mistrzem krzyżackim.

Pod wsią Silną wjechaliśmy na pruskie terytorjum. Tu nam paszporta podpisano, a rewizja nie była tak ścisła jak u drugiego króla cara.

Flisacy się ponapijali wódki, ,,zafasowali“ pieniędzy i nabrawszy lepszej fantazji, wrócili na tratwy. Tu ich zwołał retman na skarbówkę i kazał mi odczytać im następne pismo:

Attestacja.

,,Wobec każdego z osobna, komu się ta attestacja nasza dostać może, przy oddaniu powolnych usług naszych, do wiadomości podajemy, iż upraszamy o wspomożenie i poparcie bractwa św. Barbary, patronki szczęśliwej śmierci, dnia 17. lipca 1730 w kościele farnym w Ulanowie pod tytułem św. Jana Chrzciciela i św. Jana Ewangielisty zaprowadzonego. Wych Imci PP. Dobrodziejów, także braci i siostry, po miastach i miasteczkach w tem bractwie św. Barbary zostających, również upraszamy o wsparcie panów sterników, retmanów i flisaków na wodzie żeglujących swymi szczodrobliwemi datkami, które będą inhibitowane i zapisane na ołtarzu w kościele Ulanowskim, przed Panem Bogiem i św. Barbarą, a które niewątpliwie niebiosa wynagrodzą. W Ulanowie datum... Ta atestacja udziela się panu N. N. z Ulanowa“.

L. S.

Jędrzej Kuryłowicz, brat starszy,
Leopold Umiński, brat wtorni,
Fr. Piłacik, brat podskarbi,
A. Kościołek, brat pisarz.

Po odczytaniu tego pisma przednik powiada: ,,no oryle, dajcież co łaska lemuznę na św. Warwarkę, bo to już taka postanowa z dawien dawna“ No i złożyli flisi po parę trojaków. Ha! Jak na św. Warwarkę, powiadają, to na Warwarkę“.

Wyszedłszy na ,,ląda“ pod Złotorją, spotkałem człowieka, niosącego w koszu pokrzywy. Dowiedziałem się, że na 4-ch morgach gospodarzy, że ma 3 krowy, ciele i dom nowy, że z synem na flisie zarobił 30 talarów, tylko ubolewał, że wskutek walki kulturalnej 7 lat księdza nie mają a ich kościółek zamknięty a do chrztu chodzić muszą do Torunia. A jakże z pogrzebami zapytałem? — A tak, grób się wykopie, ciało się pokropi, odśpiewamy: ,,Witaj królowo nieba“ i tylo! A szkołę macie, zapytałem? Atoli, stoi hajno na pagórku na pagórku z tym czerwonym dachem, ale cóż, kiedy w niej uczą tylko po ,,niemiecku“.

Im bliżej pala t. j. celu orylskiej podróży, tem się orylowi bardziej woły kręcą za domem i coraz bardziej wspomina o wiosce, o kochanej żonie, która sobie spokojniutko

,,siedzi w doma, a flisaczek nieboraczek
robi na chleb, jak robaczek,
Płynie do ,,Turonia“.

Ale tam i żony tęskno spoglądają, czy orylów nie widać, i często nucą sobie żałośnie:

,,Idą flisi, idą mojego nie widać,
Uszyłam koszulkę, nie mam ją komu dać,
Dałabym Magierze, ale mu nie wierzę,
Swemu Jasieńkowi — sama ją zawiezę“.

A i ,,po orylach cała wieś się smuci“, bo ten ma krewnych, ów znajomych, temu oryl obiecał, że mu kupi ,,pruską percyankę“,*) tej bursztyny, ale to wszystko na darmosa, muszą być cierpliwi — bo to jeszcze odtąd tyle dale do pachołków **) a i stamtąd chałupka nie zaraz.

Że to były akuratnie Zielone świątki, toć retman kazał uśrykować, z czego byłem bardzo rad, bo miałem dość czasu połazić sobie po ogrodzie sławnego Kopernika.

Jak na szczęście trafiłem do kościoła, który był poświęcony memu kochanemu Patronowi, który sobie w Wielkim ołtarzu stoi ze srebrną laseczką, przy której torebka czy tykwa na wodę wisi, a kapelusz hiszpański mu z tyłu zwiesza się, ot biedny apostoł. Pomników i różnych napisów tak zewnątrz jak i wewnątrz tej świątyni jest huk, ale do ich odczytania trzebaby profesora Piekosińskiego, nie durnego fryca Kuby. Przy tym kościele ledwo jest jeden ksiądz. Dodać należy, że z tego kościoła Szwedzi ukradli w r. 1703 dzwon, ważący 120 cetn.

U fary podziwiałem wspaniały chór, a na nim prześliczny organ, który robiony jest, jak napis świadczy, r. 1607, a więc ma 298 lat. Struktura tego organu zaimponowała mi nie lada, bo takiego organu nie widziałem nawet w królewskiej Warszawie.

Rzeźby, essy i floresy w naturalnem drzewie pracowicie wykonane, zdają się jakby dziś z pod ręki snycerskiej świeżo wyszły i widok ich przykuwa widza do siebie.

Właśnie wyszła suma, ludu czysto ubranego jak nabił. Muzyka na dętych instrumentach połączona z srebrno brzmiącym głosem organu wpra-

*) percyanka-porcelanowa.

**) Słupy drewniane tuż przy Mołtawie, w którą flisi tratwy z Wisły wprowadzają i tu kres ich wyprawy czyli „pal“ lub „drąg“.

wiła mię w jakiś nadziemski zachwyt i człek mimowolnie upadł na kolana przed Wszechpotężnym Stwórcą Wszechświata...

Po tylej tułaninie po falach Wisły, człek się sam, bez misyjnych kaznodziei i ich nawoływań groźnych, a często ordynarnych, zwraca do swego Boga, a gdy jeszcze usłyszy ojczystą pieśń kościelną — owe wspaniałe: „Chwalmy ten nieskończony", to łzy serdeczne same się z oczu mu potoczą i czuje nadzwyczajną potrzebę modlitwy.

I sądzę, że jeżeli kiedy, to wtedy taka modlitwa trafi przed tron Najwyższego Pana, bo płynie ze serca, bo ją rodzi potrzeba — bo nie pochodzi z bojaźni ani przymusu. I sądzę dalej, że człowiek tylko wtedy się serdecznie i ze skutkiem modli, kiedy tego sam czuje potrzebę, a gdy to robi mechanicznie, ze zwyczaju, to wtedy się widzi maszynkę klepiącą pacierze a nie modlącego się człowieka. I dlatego widzi się po naszych świątyniach, że dużo ludzi drzemie, ogląda się, rozmawia, nudzi, bo oni tu przyszli albo dlatego, żeby ich ksiądz widział i chwalił, albo że to taki zwyczaj, ale lubo ruszają wargami, to serce ich dalekie od Boga.

Jeżeli mię organ i śpiew polskiego ludu zachwycił w Toruniu, to niemniej osoba i głos celebrującego dziekana Andrz. Berenta cieszył mnie niepospolicie. Gdy śpiewał ową śliczną pieśń anielską, ową prefację, która rzeczywiście ma cudowną melodję, a organista mu na organie umiejętnie wtórował, to ci się zdało, człeku, że tak chyba aniołowie w niebie śpiewają i że ten kapłan to nie pańszczyźniak.

Po nabożeństwie oglądałem pomnik Anny królewny szwedzkiej, która umarła w Brodnicy. U balustrady żelaznej wisi tablica a na niej napis: „Mon. Anna Princ. Suecie 1637". Zmarła ta Pani umarła w r. 1625, a dopiero 16. lipca 1637. Władysław IV. wyprawił tu swej ciotce, a siostrze Zygmunta III. przyzwoity pogrzeb.

Nieco dalej wisi ładny obraz Zmartwychwstania Chrystusa z datą 1676.

Bardzo to potrzebne, aby datę na każdym dziele ludzkiem kładziono, bo to dodaje dziełu wartości w latach późniejszych. Widziałem w muzeum zurychskiem i w innych za granicą, że nawet szafy łóżka, okna i t. p. wyroby są rokiem oznaczone i zaraz człek na to inaczej spogląda i ceni.

Nasi majstrowie nie zawsze tego przestrzegają i przestrzegali.

Jakób Bojko.

(C. d. n.)

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Krzysztof Hegendorfin w akademji Lubrańskiego w Poznaniu (1530—1535). Monografja z dziejów odrodzenia i reformacji w Polsce, napisał Stanisław Kossowski. Lwów 1905. Z epoki bujnej i gwarnej zaczerpnął autor i przedmiotu i obrazów do swojej monografji. Właśnie wtedy, na początku szesnastego wieku pod wpływem humanizmu i odrodzenia włoskiego zakwitły w Polsce najpiękniejsze czasy Jagiellonów i rozgwarzyło się życie o potężnych, drgających prądach umysłowych. Pod tchnieniem poetów, mowców, filozofów rzymskich, a za niemi i greckich pierzchały ciemności scholastyczne, nawet starą *alma mater* krakowską rozpierać poczęło ożywcze, pełne światła i życiowej radości odrodzenie. Zaroiło się w Polsce od mecenasów sztuk wyzwolonych, a jeden z nich, biskup Jan Lubrański, zakłada w tym czasie w Poznaniu akademję, do której on sam i jego następca biskup Latalski sprowadza co znakomitszych humanistów z Niemiec, a między nimi i Krzysztofa Hegendorfina z Lipska. Humaniści ci, a w szczególności wymieniony Hegendorfin, przynosili obok zamiłowania do autorów klasycznych, także ducha wolnomyślnego, który w Niemczech poczynał już stwarzać epokę reformacji. Hegendorfin, przybywając do Poznania był już zwolennikiem nauki Lutra, a fakt powołania jego przez biskupa katolickiego do utrzymywanej przez siebie szkoły, tłumaczy autor, zupełnie trafnie niejednolitością ówczesnej kultury polskiej i niekonsekwencją w jej przyczynach i skutkach. W Latalskim brał górę humanista nad biskupem, tolerancja nad ciasnotą przekonań.

Działalność Hegendorfina w akademji Lubrańskiego pod względem kulturalnym bardzo wydatna i przez autora niniejszej pracy szczegółowo roztrząśnięta natknęła na scholastyczny fanatyzm ówczesnego archidjakona poznańskiego Grzegorza z Szamotuł. Powstała więc między humanistą a scholastykiem zacięta walka, prawdziwe miniaturowe odbicie tego, co się działo po wystąpieniu Lutra w Niemczech, a więc z tumultami ulicznymi, przybijaniem wezwań do dysputy teologicznej na drzwiach kościołów, szeregiem pism polemicznych i pamfletów. Walka, w której fanatyzm nie przebierał w środkach, skończyła się wyjazdem Hegendorfina z Poznania.

Cały ten fragment obyczajowy z XVI. w. opowiedziany jest przez autora z erudycją i talentem dziejopisarskim.

F. J.

Sprostowanie omyłki. Z powodu przestawienia podpisów pod kliszami w artykule p. Gumowskiego pt. „Portrety Kościuszki" zaszła pomyłka, a mianowicie w N-rze 20 z dnia 14. maja jest pod fig. 10 portret Kościuszki podpisany jako robota Delanaux, a tymczasem jest to robota Grölla. Również w N-rze Tygodnia 23, z dn. 4. czerwca jest pod fig. 12. portret podpisany jako robota Grölla.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.